Rok IV.

Nr. 17. Nr. 17.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata [illegible] roczna wynosi 1 tal. [illegible] 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 25 kwietnia 1874.

Ulica Wodna Nr. 15.

O skutkach zakazu języka macierzystego w szkołach,

ze stanowiska mównictwa.

Prawie wszystkie czasopisma nasze użalają się na apatję czyli bezczułość, obojętność na otaczające okoliczności w naszém społeczeństwie.

Apatja jako cielesny objaw (pathologijny) jest oznaką chorobliwego stanu mózgowego, jak n. p. u głupowatych, — albo z urodzenia, albo w skutek innych przyczyn, które nie dozwalają mózgowi prawidłowego działania; apatja jako objaw duchowy (psychologijny) jest oznaką słabości duchowéj, która nas czyni albo rzeczywiście albo pozorowo bezmyślnymi. Ten spokój duszy pozorowy uważali filozofowie stojicy — za najwyższy stopień doskonałości człowieka, — mędrca.

Że nasza polska społeczność nie może być zdrową — to nie ulega żadnéj wątpliwości. Gorączkowość naszéj poezji w Krasińskim, Słowackim, Gosławskim i t. p. uwydatnia ten stan niezdrowia społecznego, a cudzoziemcy, badacze, — mający blizkie stósunki z Polakami — mają nas za rodzaj — obłąkanych, nerwowo cierpiących i chorobliwie draźliwych. Nie słyszeliśmy o tém, i nie jest prawdopodobném, ażebyśmy byli mędrcami w znaczeniu stojickiém.

Sprzeczność ta sądu cudzoziemców z pojęciem naszych ziomków piszących czasopisma, — pociągałaby nas raczéj ku przekonaniu bezstronniejszych sędziów obcych, i łatwém byłoby udowodnić, że zaiste niesłuszne są względem nas zarzuty apatji. Naturalniejszą nawet w okolicznościach obecnych byłaby nam gorączkowość — nie spokój duszy, choćby chorobliwy.

Jest atoli w naturze inny objaw pozorowéj apatji — tak zwany sen, czyli odmładnianie, odnawianie sił zużytych, w którym to stanie tak ludzie jak zwierzęta i rośliny gotują się do nowych czynności po przebudzeniu. Senność taką wspominaliśmy w poprzednim numerze tego pisma, — nie przestraszamy się nią bynajmniéj, owszém uznajemy jéj dla nas zbawienność.

Szczęściem naszém — że nie ludzie rządzą ludami, ani my samemi sobą, — ale Ten, który jest naszym Ojcem, bez którego wiedzy i woli nam włos z głowy nie spada! Mamy tę głęboką wiarę — że złe jakiego doświadczamy, jest bardzo cennym drogoskazem, wymownie nas kierującym w mylnéj drodze — lubo drogoskaz ten milczy i szubienicą sterczy dla mających uszy, którzy nie słyszą, — dla mających oczy, którzy nie widzą!

Nie zdaje się nam stósowném takie dręczenie już cierpiących, — takie wyrzuty — niby zmylonym, — boby to już drogi zmylonéj, nadaremnie nibyto, powtarzamy, przebytéj nie ukróciło — a draźni i niecierpliwi.

W pochodzie ludzkości to zło, te drogoskazy nie są nawet znakami mylnéj drogi. Nauka filozofji uważa je jako niezbędne wskazówki przy drogach rozstajnych właśnie dla tego — żeby drogi nie zmylić.

Jednym z takich drogoskazów w naszéj ziemskiéj pielgrzymce — jest zakaz mowy macierzystéj po szkołach i po urzędach. To zło, — bo jest niém, — zdaje się nam przychodzi właśnie w porę, — pojawia się przy rozstajnéj drodze: materjalizmu — po któréj jechaliśmy koleją żelazną, prędko, łatwo, ochoczo, — porywani zapałem społeczeństwa europejskiego. To naturalne! Jesteśmy tego ciała członkiem — i stósować nam się było trzeba do tego ruchu i kierunku. Gorączkowy ten pospiech nasz, zacząwszy od warstw najwyższych aż do chłopów komorników i proletarjatu, wyczerpał sił naszych wiele. Ostatnią tą stacją było Sedan. — Tu drogi się rozbiegają przy kupie złota ze wszech stron świata nasypanéj w Berlin. Widoczném nieomal, że ta niemiecka część społeczeństwa jedzie daléj swoją koleją, — gdy inne narody ogołocone ze sił, mianowicie Francja i część polska pod berłami niemieckiemi w innym mają iść kierunku — nie bezwzględnie materjalnym jak

dotąd. Do tego pochodu trzeba nowych sił — i sen, w jakiśmy teraz wpadli, — pokrzepia nam siły do tego pochodu.

Wyrzucenie naszéj mowy z urzędów i szkół w łonie społeczeństwa polskiego przeważnie — jest właśnie wskazówką, że powinniśmy się sami, bez żadnéj obcéj protekcji zająć tym skarbem przez Boga nam powierzonym, — a o którym zupełnie zapomnieliśmy.

Rząd pruski — najniezawodniéj myśmy sami wprowadzili w tę pomyłkę. Czyż w towarzystwach, gdzie nas po kilkanaście osób Polaków bywało, za pojawieniem się cudzoziemca — nie sililiśmy się na używanie obcéj mowy? — Do dziś dnia nie dbałyż matki więcéj o to, ażeby się dzieci wyuczyły po angielsku, francuzku, niemiecku niż po polsku? Sercanek uczennice — nie myśląż nawet po francuzku raczéj?... A ojcowie, panowie, nie występowaliż w obcéj mowie gdy im chodziło o pośpiech w interesie, a wtedy tylko, gdy rzecz była drobnéj wagi, domagano się demonstracyjnie — o mowę macierzystą? Nie uśmiechaliśmy się niby z dziecinnego uporu, niby z psót z Niegolewskich, Budziszewskich, Szczanieckich i im podobnych, że się stanowczo, stale dopominali u wszystkich władz — polskiéj mowy?

Nie dziwić się rządowi — jeżeliśmy mu pozwolili nabrać przekonania — iż język polski może być zupełnie usunięty z jego olbrzymiéj machiny — i że dla uproszczenia jéj ruchu, dla oszczędności w płacy urzędników, — że uprościł sobie swe działania, — bez zwłok marnujących czas i trud przy tłómaczeniach i t. d.

Szkoda stała się nam dziś już dotykalną, — ale i rząd następnie odpokutuje ten zakaz uczenia się mowy macierzystéj, — jak odpokutować się musi każde przekroczenie praw przyrodzonych.

Po przerwanéj naszéj pracy „O Mównictwie“, dla tego przerwanéj, że nie interesowała wielu czytelników*), bylibyśmy na ten sam temat weszli, — dziś obecne okoliczności, — może z innego nieco stanowiska obejrzany ten sam przedmiot interesowniejszym uczynią. Powołujemy się na to urwanie, bo nie możemy powtarzać tego, co już dawniéj częściowo chcieliśmy udowodnić, że: mowy ludzkiéj ludzie nie mogli wymyśleć ani ułożyć, — ale że ona jest płodem natury, — tworem — nie utworem; że jest jako twór do pewnego stopnia nietykalną, nie dającą się dowolnie zmieniać; że nawet najsilniejsze mocarstwa i mocarze nie mają nad mową tyle władzy, ileby się to na pozór zdawało.

W ludzkości, którą płytkie umysły uosobiają sobie jako do tyla łatwą do pojęcia i objęcia całość, — ile zwykłą jaką istotę, kosmopolityzm ograniczyć się musi na kilku tylko zasadach moralności (etyki). Zasady te są bardzo proste, łatwe do pojęcia nawet bardzo ograniczonym, dziecinnym umysłom, — i niezawisłe bynajmniéj od żadnych spekulacji filozofijnych, ani od religijnych form i dogmatów. Te zasady — które są odwieczne jak sama ludzkość — stósować się dają wszędzie i zawsze i one stanowią dzielną spójnię społeczeńską. Ta prostota właśnie spowodowała materjalistów do sądu, że różnice pomiędzy ludźmi znieść należy i na saméj poprzestać moralności. To stanowi kosmopolityzm, — tyle wart co tak zwany darwinizm, co nihilizm, co komunizm (nie tyle zkoślawiona w Paryżu komuna czyli gminowładztwo t. j. forma rządu podobna do rządów Szwajcarji, Ameryki Stanów Zjednoczonych). W naturze ludzkość podzielono na narody. Granicami naturalnemi tychże są mowy, stósujące się do pewnych granic geografijnych, n. p. mowa hiszpańska, szwedzka, niemiecka i t. d. przyczepione do miejscowości — do krajów. Jeżeli mowa zdaje się być pozorowo: znamieniem zewnętrznem, oznaką namacalną narodowości, — to w rzeczy saméj, rzeczywiście: mowa jest czémś więcéj — bo ona jest objawem życia duchowego. Odebrać komu mowę — jest to odebrać mu życie duchowe téj części społeczeństwa, w którą Bóg go zesłał. Widoczną jest ta różnica życia duchowego narodów na tych, których okoliczności przerzuciły na dłuższy czas po za granice przez naturę mu przekazane. Taki człowiek niby ząb wyrwany ze szczęki, może wrócić w dawne swe miejsce — ale nie zakorzeni się więcéj. On nie przylgnie tak silnie do narodu, jak ten który go nie opuszcza. On nie wżyje się w lud, — a choćby i nabył najświetniejszych cnót u obcych — to nabędzie i wady ludu w którym żył. Te cnoty nie będą wspólne z narodem, będą raziły, ale więcéj jeszcze razić będą w obczyźnie nabyte wady — nie narodowe.

To właśnie stanowi tę przepaść — jaka istnieje między napływową ludnością niemiecką w Polsce, — a rodowitymi mieszkańcami. Téj przepaści żadne filozofijne, żadne cywilizacyjne pojęcie ani wykształcenie wspólne — nie usunie. Owszém zagubi się z czasem żywioł obcy. Zpolszczeni Niemcy stają się najżarliwszymi Polakami. Zcudzoziemszczony Polak stanie się w następnych pokoleniach wrogiem ojców narodowości, jak tego mamy liczne przykłady. Bo za mową, niby za fasadą budynku, kryją się obyczaje, zwyczaje, pojęcia polityczne, religijne, społeczne, — strój, sposób używania: i dobrobytu materjalnego i moralnego, stósunków rodzinnych, dobrobytu społecznego; za mową idą popędy do czynów wolnych, jako to: tradycje, mody polityczne, lekarskie i naukowe; style: budowlane, wymowy, pisma i sztuk pięknych; dyjalekty; charakter typowy narodowy, a nawet i pojęcia filozofijne, — a nareszcie oryginalności, genjusze ze zasadami rozumowania, teorji i t. d. co wszystko środkuje się w mowie jakiego narodu.

Jaki zamęt sprawi to prawo niebacznie dziś nam narzucone — okaże czas, — ale z dziejów nie zabrakłoby przykładów, że całe państwa upadały i przekształcały się gdy narzucano ludom mowy. Dodać wypada, że takie przewroty zawsze na korzyść wypadały dla oświaty ludowéj, — ale nigdy dla potęgi rządowych systemów — które je zaprowadzały.

To jest konem (faktem) że myślimy za pomocą wyrazów. Innym konem jest, że nawet tak samobrzmiący wyraz n. p. wyraz Polak — w dwóch narodowościach wspólnie użyty — najprzewrotniejsze miewa znaczenia. Dla nas jest hasłem dumy; dla Niemców oznacza: resztkę nie dożutą — nie dopitą — i budzi obrzydliwe uczucie. Niech tego nie przypisuje nikt politycznemu rozdrażnieniu, dziejowym wiekowym walkom ani przypadkowi jakiemuś. Wyraz salopa u nas oznacza damskie okrycie; we Francji — zpodloną niechlujną biedaczkę. Wyraz liberale znaczy u Włocha człowieka chojnego, wspaniałomyślnego, — u Francuza człowieka wolnomyślnego, wolnego, — u naszego gminu jest dziś równoznaczny z farmazonem, — podlcem. Wyraz farmazon budzi w umyśle Szweda tyle czci, ile u nas zgrozy, — a znaczy po prostu: niepodległego cechowi mularskiemu mularza. Tysiącami wyrazów moglibyśmy te różnice pojęć objaśnić, jakie te same brzmienia słów w różnéj narodowości ludziach wzniecają, — a lada słownik obcego języka dostarczy niepomiernie materjału.

To zamieszanie pojęć i wyobrażeń szkoły niemieckie polskim dzieciom najniechybniéj już sprawiały i sprawiać

---

*) Dochodziły nas listy i ustne uwagi — że już tyle się publiczność nasza naczytała o kreskowanych e i jotach i t. d. prac Cegielskich, Malinowskich, Rzepeckich i t. p. — że wybór artykułów „O Mównictwie“ jak i „O lekarstwie w Indjach“ był najniestósowniejszym, za nadto nudnym i niestrawnym. Widocznie osoby te odstraszyły się samemi tylko tytułami od czytania — bo ani w Mównictwie o kreskowanych e i o jocie — ani w ciekawéj kosmogonji itd. w Indjach — o lekach i leczeniu nie ma mowy.

jeszcze więcéj będą. W naszéj arystokracji tacy dziwacy jak Radolińscy z Borzęciczek, i tylu innych najpoczciwszych ludzi — dziwaków i niedołęgów — wywołały nauki obcych języków, bo pokrzywiły pojęcia i wyobrażenia. Wyraz szyk, szykowny u ludu ma znaczenie ideału dziarskiego parobka, dziarskiéj dziewuchy; lalki salonowe pod wyrazem chic (szjik) mają za ideał: paryzkiego fryzjera lub boulotkę, — który to ideał u chłopstwa naszego wywołuje pośmiewisko jeżeli nie litość. Obok siebie na francuzkiéj szkólnéj ławie uczący się współcześnie panicz obok syna ekonoma, słysząc ten sam wyraz, jakżeż różnych doznają wrażeń!

Pedagogowie rzecz tę za stanowczo rozstrzygniętą uznali: że tylko w macierzystym języku trzeba dzieci kształcić, — a potém je dopiero obcych języków wyuczać. Rząd pruski sam — z czasów nie kosmopolityczno-nihilistyczno-materjalistyczno-darwinowskich przez swych ministrów hołdował téj zasadzie. Dziś moda polityczno-naukowa na niebezpieczne wpycha tory rząd, którego powodzenia pragnie. Lecz najrozhukańsze bałwany nie przekroczą granic im przeznaczonych, — i prędzéj uda się sprowadzić wody Wisły do Czarnego morza, niż wytępić mowę, o któréj dozórca z huty Laurahüte, Szlązak, Juljusz Schafflik pisze do swego siostrzeńca Wilhelma temi słowy:

„..... Pokochasz zapewne polszczyznę, bo przekonasz się późniéj, iż język nasz jeden z najdziwniejszych i najpotężniejszych na świecie. Język nasz jest bowiem z natury ducha swobodnego, bujającego, nieujętego; jest ruchów szerokich, rozmajitych, ustawicznych, w mgnieniu oka w inne kształty wpadających. Inny jakikolwiek n. p. francuzki tak już został we wszystkiém zbadany, określony, w kluby ujęty, że możnaby mówić, że nie składa się z pojedyńczych wyrazów, ale z gotowych frazesów. Nasz w całym swoim składzie rusza się wszystek jak liście lasu ogromnego. Jest przytém tak pełen natchnienia, w najcieńszy promień myśli i uczucia wnikający, szybki, nieprzewidziany, że pisząc nim można czasem przez dobranie tylko jednego słówka, jednego przymiotnika — zdziwić i talentu dowieść. Nie chcę cię przez to wychwalanie mowy ojczystéj do innych języków zniechęcić, owszém prawie z téj przyczyny do głębokich studjów i zapatrywań w tych wszystkich językach których się uczyć masz, pobudzić, bo kiedyś sobie ten stan nauki wybrał, to już przeznaczeniem twojém każdą mowę z gruntu i jak najzupełniéj poznać.“

Gdzie takie w ludzie panuje przekonanie — tam nic nie wskórają najuczeńszych mrzonki, ani nawet neronowskie zakazy.

Max Müller najwyraźniéj wypowiada, że „rozwój języka i rozwój duchowy są tylko jednym i tym samym procesem duchowym — tylko że z dwóch stron zauważanym. Ztąd wynika: że bardzo nam trudno albo i niemożliwém zupełnie myśleć po chińsku albo w jakimbądź obcym nam języku, ażeby nie oddawać kategorji pojęć i myśli po chińsku. (Lectures on the science of language. 2 series. 2 edit. London 1868, pag. 23 i 183: There is no doubt. etc.)“

Co wyniknie za korzyść rządowi z tego, że my będziemy mówili po niemiecku, a myśleli i czuli po polsku? Nie rozdraźniż to nas jeszcze więcéj? Nie prawdziważ to zasada ekonomji społecznéj, wyrzeczona przez Fryderyka Bastiat: „wszystkie uczciwe sprawy są ze sobą zgodne.“ — Cóż z téj niezgody wyplynie, — że Niemcy będą nas czuli cierniem w swém ciele, — i to niedostatecznie wykształconych? — Bo i to pewnik co powiedział Ignacy Danielewski, a sam był nauczycielem w pruskiéj szkole: „Jedynie naturalnym, a więc jedynie przydatnym środkiem do kształcenia narodu jest mowa ojczysta. — Jesteśmy pewni, że jak ongi Fryderyk II tępić kazał wróble i płacił za głowę po fenigu a późniéj za wychowanego wrobla po 3 fen., — tak następna izba obecnego sejmu — dziś zawotowawszy zakaz uczenia się po polsku — prosić się i płacić będzie samych Niemców — ażeby się po polsku uczyli.

Ten zakaz, ten drogoskaz — przyjmujemy bardzo wdzięcznie jako łaskę Boga, — że mamy nie pędzić koleją żelazną za złotem, — ale za skarbami takiemi, jakiemi jest nasza mowa: mowa najbogatsza, najpiękniejsza i najwykształceńsza z mów na ziemi istniejących.

Mądrość Słowiańska

przez

Tadeusza Komara.

(Ciąg dalszy).

12.

Naprzód idź krokiem pewnym jako stałość,
Nie jak lecąca na oślep zuchwałość
Co często w pierwszym potyka się kroku;
Idź ni na chwilę nie zwalniając kroku!
Stróżliwym wzrokiem po ziemi i niebie
Wciąż się rozglądaj, lecz nie patrz za siebie,
By męzkie serce w tobie nie zmalało
Zdjęte słabości i tęsknot chorobą,
Bo nic za tobą, a wszystko przed tobą.
Nie wieleś uszedł, lecz wiele zostało.
Pytaj się często u serca własnego
Gdy chcesz być bliżéj krok za krokiem swego.
Choćbyś cierniami skłół serce i nogi,
Dla wygodniejszéj nie schódź z prostéj drogi.
Prosta najlepsza chociaż nie dla wielu,
Bo wiedzie prosto przebojem do celu;
Choćbyś nie doszedł i upadł mdlejący,
Twym śladem dojdą po tobie idący.

13.

Wszystko miéj w sobie nic nie niosąc z sobą!
Strojny nadziemskiéj pokory ozdobą.
W ciszy, a milcząc, a z taką godnością
Jakbyś sam jeden był całym narodem,
Lub przeciw pysze krzyżowym pochodem;
Wciąż prosto, naprzód idź z tą powolnością.
Nie z tą słabością żółwich dusz jałową,
Co pełzać musi, bo lecieć nie w stanie,
Ale z tą, któréj szalone wytrwanie
Treścią i siłą; z powolnością ową,
Co krokiem wcześnie, rozumnie mierzonym
Wiecznie wprzód idzie, a nie zna spoczynku,
Widna nie w chodzie, a tylko w uczynku,
A nigdy krokiem nie stąpi chybionym. —
Z tą powolnością nie przepartą niczém,
Co nieustannym wielkich dzieł jest Zniczem,
Co nigdy próżno swych sił nie wytęża,
I już swym samym uporem zwycięża.

Z swych krwawych znojów czerpiąc siły nowe,
Przed którą pękną wrota djamentowe.

14.

Ale do czasu jest powolność ona,
Tak jak do czasu miłość w głębi łona
Skryć się udaje; i musi się zdradzić
Pomimo woli, lub serce rozsadzić.
Tak jak do czasu w ciemném ziemi łonie,
Podziemny ogień w tajemnicy płonie.
Aż przyjdzie chwila... wzdąwszy łono ziemi
W górę, boleśnie palącém westchnieniem,
Ryknie wulkanów piorunowém pieniem
I sztandarami wionie ognistemi!

15.

Niby smok skarbu strzeż, pilnuj téj chwili,
Bo niby paproć kwitnąc wraz opada,
A nie zawrócić gdy się raz przesili!
A gdy przeminie piekłu ku radości,
To piekło śpiewa z wściekłym śmiechem: „biada!
Biada wam słabi! zwyciężonym biada!“
I będzie czynić tryumf z twéj słabości. —

16.

Więc kiedy twoja praca już dojrzeje,
I pękać mają z pączka twe nadzieje,
Dotąd idący w mądréj powolności
Ty zmień ją w czynów grom i błyskawice,
I rzuć te gromy wrogom prosto w lice,
By tą nagłością zgnębić w nich pół męztwa,
I swą szybkością wydrzeć pół zwycięztwa!

17.

Ty stań się wyższym nad ziemskie przeszkody,
Całem twém sercem sprawę miłującém.
Bądź niby rzeka, co korytem wrącém
Gdy spotka skałę, skręcając swe wody
Obchodzi, albo w swe rwiste ramiona
Chwyci w pół skałę i płynie znów daléj
Ku ujściu swemu niczém nie cofniona,
A coraz szerzéj, a coraz wspaniaiéj,
Aż z czasem skałę podmytą od brzegu
Prąd jéj oderwie i uniesie w biegu.

18.

Nie bluźń przeszłości, lecz nie wzdychaj za nią
Niby paladyn błędny za swą panią!
Ty zrób z przeszłością co z starą świątnicą
Przez czas zgrzybiałą, gdy już stoi nowa,
Piastować bóztwo godna i gotowa:
Nim się szczerbami ściany jéj przeświecą,
Nim się podłoga w podziemie osunie,
Lub strop na głowy modlących się runie,
Co święte, piękne, drogie, krwią ochrzczone
Przenieś pod nowéj świątyni ochronę.

19.

Do ziarnka piasku, do ukłócia szpilki,
Do mgnienia okiem pełń swe obowiązki.
Do błyskawicznéj licz się z życiem chwilki,
I nawet pyłku nie daj zapomnieniu,
Bo na tém stoją wszystkie ludzkie związki,
I mądrość życia jest w tém się liczeniu.

20.

Cześć swą i prawość wciąż mając na względzie,
Dobądź do końca i zawsze i wszędzie;
Choć z bólem serca do źdźbła dopełń swego;
Każdemu wiernie oddaj co jest jego:
Ojczyznie siebie, a co boskie Bogu,
Królom ich pychę, a co wraże wrogu.

21.

Precz ze słabością! słabość piekieł tchnienie,
Które na ziemskie z gliny pokolenie
Ku pokuszeniu piekło co dzień zionie,
By bożą wolę stłumić w ludzkiém łonie.
A serce słucha tych zdradnych tchnień snadnie,
Boć nie rozkoszą mamiącą nas zdradnie,
A tém najczęściéj co najczuléj boli
Do serc nam puka słowo bożéj woli.
I często jedna mdła chwilka słabości
Strąca jak słomkę w przepaście nicości
Wszystko co znojem doletnim kupiono.
Tak ów Orfeusz co za ulubioną
Zszedł aż w podziemne erebowe cienie
I u bóztw piekła wymodlił ją sobie...
Lecz nie umiejąc wytrwać w danéj próbie,
To co tak drogo łzy krwawemi płacił,
Powtórnie w chwili gdy miał posiąść, stracił. —

22.

Nie miéj słabości i strzeż się wahania
Co niewyraźnie tam i sam się słania,
Razem by rade chwytać się wszystkiego,
Co jego płodem upadek lub zdrada.
Nie miéj słabości i strzeż się wahania!
Dwie dróg nie wiedzie do celu jednego!
Zawierz przysłowiu: ptak co razem siada
Na dwóch gałęziach, na ziemię upada.

23.

Precz ze słabością! słabość to chwast duszy
Co sobą chęci by najlepsze głuszy;
I myśl najświętsza nim się w kwiat rozwinie,
Bez słońca w cieniu tego chwastu zginie.
Wierz mi i w sercu zapisz: twoje wrogi
Silni nad tobą nie swą wielmożnością,
Ni potężniejsze nad twoje ich bogi,
Lecz oni silni twą własną słabością.

24.

Więc ty bądź silny twoją własną mocą
Dobytą z siebie, w bojowaniu chrzczoną,
Co sama sobie najlepszą pomocą
I nad stal dzielniéj uzbroji twe łono,
I nad miecz ostrzéj w serce wroga bodzie.
Panuj nad sobą i bądź z sobą w zgodzie,
Gdy chcesz panować myślą nad innemi!
Zgnęb ogniem z nieba twą połowę z ziemi,
Stań się nad sobą samowładnym panem,
Nad Kaligulę zawzięteszym tyranem,
W ciągłéj, zazdrosnéj o władzę obawie;
A tego pana dobréj, świętéj sprawie
Uczyń posłusznym jak psa batogowi;
Chęć poddaj woli, wolę rozumowi. —

25.

Słabością pytać: co będzie, jak będzie?
Ty mając dobro sprawy swéj na względzie,
Chciéj, myśl i czyń tak, aby dobrze było!
A wierz, a kochaj, miéj dobrą nadzieję,
A w posągowych czynach zajaśnieje
To co ci ledwie nieśmiało się śniło.
Wierz mi: twa mądrość w żywém serca biciu,
Wszystko w twém chceniu, w tego chcenia byciu.

(Dokończenie nastąpi).

Opieka i Opiekunowie.

Powieść

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

Cecylja dobrze wykonała Impromptu Szopena. Soliński uważał z wewnętrznem zadowoleniem, że znowu pobladła — a potém lica jéj mocny zbarwił rumieniec. Gdy skończyła obskoczyły ją panie — i posypały się liczne a przesadzone pochwały. Jedni obrzucili matkę kadzidłem pochlebstwa; drudzy winszowali panu Andrzejowi pupilki takiéj i prawili mu wielkie słowa uznania dla zasług jego i poświęceń; inni wreszcie całowali pana Idziego, jako wzorowego ojczyma-pappę.

Służba wniosła wina, ciasta, owoce, cukry. Wzniesiono zdrowie panny Cecylji. A Soliński wymknął się nieznacznie do przedpokoju, bo już wszystkiego miał po uszy; okrył się futrem i do domu pospieszył. W godzinę potém nadszedł i prawnik.

— A cóżeś tak drapnął? zagadał, wchodząc do pokoju. — Zaniepokoili się państwo Węgielewscy.

— Nie mogłem wytrwać dłużéj.

— Piliśmy za zdrowie gospodarstwa, opiekunów — bo wywołano i nazwisko nieobecnego pana Mateusza. Potém za zdrowie dam... chciano i tobie przynieść toast, ale jegomości już nie było.

Soliński ręką tylko machnął.

* * *

Gdy goście się rozeszli, państwo Węgielewscy pozostali jeszcze w salonie — i znać nie dostrzegli, że Cecylja w przyległym była pokoju, bo papa ozwał się zbyt nieostrożnie do mamy:

— Niepokoi mnie trochę, że ten Soliński wyniósł się tak rychło: przed herbatą nawet. Nieznośna facjata!

— Odwykł od towarzystw, znużony był pewnie — odrzekła matka — tak rychło przybył.

— Potrzeba go sobie ująć koniecznie.

— Toćżem go tak serdecznie przyjęła, jak niemożna było lepiéj.

— Żeby tylko przychodził co wieczór. Zapraszałem go po razy parę, ale to sobie zawsze wygórowany był sensat: niby lepszy od wszystkich. Zwłaszcza téż teraz będzie wymagającym. A potrzeba mu pochlebiać.

— Każolowałam go prawie.

— A co on téż tam Cesi pogadał?

— Dosłyszałam, że mówili o Bruxeli, o pensji, lekcjach, i po polsku tylko.

— O! Ale przecież Cesia mówiła po francuzku?

— Po polsku.

— A on umie po francuzku. Żeby jéj tylko jakich zbytecznych rzeczy nie nakładł w głowinę, bo to jest trochę podobném do niego... Ale menażować go musimy i potrzeba go zkaptować. Chociaż to twardy jest charakter.

— Będę dla niego przyjacielską, słodziuchną, okażę mu zaufanie najwyższe.

— Cesia najlepszą będzie pośredniczką, tylko ją koniecznie trzeba mieć na oku, ażeby jéj tam czego nie nagadał i nie przewrócił w myśli.

— Oh, ona wychowana jest tak dobrze i ma chic wrodzony!

— To i niechże sobie gadają, bo ona zkaptuje go najpewniéj.

Rodzice wyszli — i panienka do swojego pokoiku frunęła.

Rozmowa powyższa, tak przypadkowo dosłyszana, zaległa jak kopeć na myśli dziewczęcia: Jakież to zbyteczne były rzeczy, których się lękano, by jéj nie nakładł do głowy? Dla czegoż muszą go menażować? Dla czegoż chcą go zkaptować? „Nieznośna facjata“ — a jéj młodziutkie już go polubiło serduszko — „twardy charakter“ — powtarzała sobie dosłyszane wyrazy ojczyma-papy. Długo téż zasnąć nie mogła i coś ją dziwnie na dnie duszy bolało.

IV.

Nazajutrz, około godziny szóstéj pod wieczór, niby magnetycznie pociągany, Soliński już się zabierał pójść do państwa Węgielewskich.

— Poczekaj, pójdę z tobą! zawołał prawnik, widząc, że za kapelusz chwyta. — Będę zabawiał rodziców, byś mógł pomówić z panienką swobodnie. A nie nastręczy to domysłu żadnego, bo mam trochę interesu do Idziego.

Zastali Cesię przy fortepjanie, a panią baronową nad jakimś świeżym romansem Flaubert'a. Pani Węgielewska jeszcze z jakiéjś nie wróciła wizyty.

Węgielewski nadszedł ze swojego pokoju i wyrazem uradowania powitał kochanego pana Jana, dziękując mu serdecznie za jego chęci przyjazne.

— Zmartwiłeś nas wczoraj, kochany Jasiu — dodał — żeś nas opuścił tak rychło.

— Nie byłem zdrów zupełnie — odrzekł Soliński — a odwykłem od zebrań liczniejszych.

— Musisz nawyknąć znowu! Odgadła to moja żona, a twoja przyjaciółka serdeczna.

Prawnik zajął gospodarza o interesach rozmową. Soliński przysiadł się do Cecylji. Baronowa zaś, gdy rozmowa toczyła się po polsku, z widocznem zajęciem swój piękny romans czytała daléj.

— Czy panna Cesia przeczytała Pieśń o ziemi naszéj? zapytał Soliński panienki.

— Och, panie! zawołała. — J'en étais... byłam oczarowaną! poprawiła się zaraz. — Czytałam a czytałam przez rano całe i zdaje mi się, que... że połowę umiem na pamięć. Czytałam półgłośno... Panie, te rymy to jakby muzyka dźwięczna!

— A treść, moja Cesiu?

— O mój Boże! Je... nic podobnego nie zaznałam jeszcze. Te prześliczne opisy czarowały mnie, jakby Fata Morgana. Dziesięć razy odczytam je jeszcze.

— Więc język polski jest piękny? uśmiechnął się Soliński.

— Przekonywam się — odszepnęła panienka.

— Przyniosłem dziś Przedświt Zygmunta Krasińskiego, który u pana Nawrocińskiego znalazłem. Czytaj, Cesiu! Panu Wincentemu inny sprowadzę egzemplarz — podał jéj książkę oprawną.

— Merci bien... Dziękuję!

— Słyszałaś pewno o Krasińskim?

- Pan Konarowicz mówił nam o Krasickim...

— Ależ to Zygmunt Krasiński, który stworzył Przedświt — Soliński stłumił westchnienie.

— Oui, certainement, to nie ten biskup, który i bajki pisał...

— Biskup nazywał się Krasicki, a twórca Przedświtu Krasiński. Czyliż ci o nim pan Konarowicz nie mówił?

— O, que si! zawołała rumiana i z ożywionem spojrzeniem — teraz sobie przypominam! Mówił o...

Krasińskim, jako o największym poecie. Postawił go na równi z Byron'em. Wymienił Mićkiewicza i Sło... Słowińskiego...

— Słowackiego.

— Tak, tak, Słowackiego!

— Cesiu! W ostatnich czasach żaden naród nie miał tak wielkich poetów, jak my...

Nadeszło dwóch panów i zrobiło się gwarno. To też Soliński tém żywiéj do córki Tytusa przemawiał, rad, że go nikt dosłyszeć nie może — i nakładł jéj wedle ojczyma-papy wiele zbytecznych rzeczy do głowiny. A dziewczę słuchało z rozwartemi oczami — z usteczkami rozchylonemi, jakby pączek róży — i niby duszą każdy chwytało wyraz.

Powróciła pani Ignacja z wizyty; uścisnęła z wdzięcznym wyrazem rękę pana Jana i usiadła obok, wprowadzając rozmowę o Bruxeli, o doskonałéj pensji, na któréj kształciła się Cesia — i o najpierwszych mistrzach którzy rękę do tego przykładali dzieła.

Soliński dostrzegł, że panienka, gdy matka weszła, Przedświt nieznacznie pomiędzy nuty na fortepjanie wsunęła — i dało mu to do myślenia. A sam nie wiedział, jak o tém sądzić. — Ta ostrożność nastąpiła w skutek posłyszanéj wczoraj rozmowy — o czém nie wiedział. Uznawał tylko, że ją pociągało i wpływało na nią wszystko, co jéj mówił, a nie chciała, by matka zobaczyła książkę, którą jéj przyniósł. To było smutne — niby hipokryzją trąciło — a to z jego winy! — Ale, jakżeż drogie dziewczątko, córkę niezapomnianego Tytusa, można było ocalić inaczéj? — Zamyślił się cierpko — bo zanadto prawego był charakteru. A w tym czasie pani Ignacja trzepała mu różności, których słuchał z uprzejmym wyrazem, gdy myśli jego inaczéj zajęte były.

— W niedzielę — zagadała w końcu — przedstawię kochanemu panu mojego Benjaminka, najmłodszego synka Ździsia, bo dzień cały z guwernerem swoim spędzi u mnie.

Soliński pokłonił się grzecznie.

— Przedziwne dziecko! A jaki przywiązany do rodzeństwa!

„Nie zna ich prawie wcale!" poszepnął sobie Soliński z goryczą — boć to wyraźne było kłamstwo — kłamstwo, wypowiedziane dla niego.

Napełnił się salon. Cecylją panie wzięły pomiędzy siebie. Pan Jan pogadał nieco z panem Andrzejem — a potém przed dziewiątą wysunął się znowu cichaczem

* * *

— O czémże pan Soliński rozmawiał wczoraj z tobą? zapytał Cecylją nazajutrz papa-ojczym.

Panienka zapłonęła — a pomna onéj dosłyszanéj rozmowy, odrzekła przytomnie:

— Mówiliśmy o Bruxeli, o panienkach, koleżankach moich. Pan Soliński mówił mi o Syberji, o Tobolsku.

— Zacny to człowiek, rozumny, ale marzyciel. Szlachetny, i winnać z wszelkim dla niego być szacunkiem. Ależ marzyciel, powtarzam, jakich mało! Buja po za światem rzeczywistym i niejedno w inném widzi świetle, jak inni ludzie. Może tak chorobliwie usposobiło go wygnanie. Chociaż to on zawsze różne miewał mrzonki. Lecz poczciwy człowiek i wykształcony.

Cecylja podumała: coby to znaczyło wszystko — i utwierdziła się w instynktowém poczuciu, z którém Przedświt pod nuty wsunęła: ażeby się nie popisywać z darami pana Jana — onemi prześlicznemi książkami.

Wieczorem przyniósł jéj pan Soliński parę nowych, lepszych powieści naszych i Skargi Jeremiego. Dnia czwartego Poezje Syrokomli — a wreszcie po tych kwiatach, pełnych uroku i woni — ważne a piękne prace historyczne Szajnochy. Panienka zasmakowała w piśmiennictwie naszém na poezjach, powieściach — jak dziecko, gdy mu dla zachęty podają cukierki i owoce.

Codzienną rozmową, płynącą z ciepłego serca, wytrawionych myśli i zacności duszy — rozwijał Soliński stopniowo jéj umysł wrażliwy, rozbudził szlachetne i wyższe poczucie; rozniecił młodą, pochwytną, bujną fantazją, i rozetlił boską iskrę w sercu. A wszystko działo się spokojnie, z cicha, że i na wierzch nie wypłynęło wcale. Cecylja książki do swojego wynosiła pokoju i do necessaire'u podróżnego chowała, zostawiając sobie jednę tylko na stole, ukrytą pod francuzkiemi i angielskiemi. Ta ostatnia ostrożność była nawet zbyteczną, bo matka jéj przy ważniejszych zajęciach, wizytach itp. czasu nawet nie miała, by zajrzeć jaką tam książkę jéj córka czyta.

Pani baronowa także sobą zajęta była: odwiedzały ją pierwsze damy — bo Francuzka stała się modną. A w chwilach wolnych zatapiała się w autorach, jak Feydeau, Flaubert, Gabriau i t. p.

W niedzielę, wedle zapowiedzenia, przedstawiła pani Ignacja synka Ździsia kochanemu panu Janowi: chłopczyka ładnego, wyglądającego zdrowo i raźno. Soliński, lubiący dzieci, nie miał wszelako serca by go popieścić, by z nim pogawędzić, co sobie nawet w głębi duszy wyrzucał — ale to uczucie silniejszém było od woli. Poznał także i guwernera chłopczyka, Polaka — i nastręczyła się myśl cierpka: dla czegóż Adolf nie miał takiego? — Pan Idzi dla własnego syna znał i wiedział, co jemu zbawienie przynieść może, i z większą jeszcze, z gryzącą srodzéj goryczą, porównywał postępowanie jego z synem Tytusa.

* * *

Dnia jednego pod wieczór Soliński wybrał się wcześniéj znowu do Węgielewskich, by w salonie sam na sam spotkać się z Cesią. O tym czasie pani Ignacja wizytowała zwykle, a córki z zasady na wizyty z sobą nie brała nigdy. I pan Idzi był w tym czasie zajęty inaczéj.

W salonie dopiero jedna paliła się lampa i był pustym zupełnie. — Pana Solińskiego uważano w domu państwa Węgielewskich jako zaufanego przyjaciela, niemal jako domownika. Mógł więc kazać poprosić do siebie pannę Cecylją. Zjawiła się téż zaraz pełna radości, witając szacownego przyjaciela — sama, bo i madame la baronne wyjechała dziś z mamą.

— Przynoszę kochanéj Cesi w podarku rzecz arcypiękną, chociaż boleśnie przemawiającą do duszy i serca — a korzystając z chwili, rozwinął zwój dość spory, przywieziony z sobą, i rozłożył przed nią Polskę Grotgera. Tłomaczył jéj przecudowne obrazy — lubo że tłomaczenia nie potrzebują nawet, taką mówią boleścią wdzierającą się w głąb duszy — a w myśli winny utkwić na zawsze.

Cecylja popatrzyła na ryciny, oddające z taką prawdą nieporównaną owe krwawe, rozdzierające, pełne grozy wypadki. Pochyliła się — skłoniła czoło — a po jéj zbladłém licu bez skrzywienia jednego muszkułu, polały się łzy przeczyste obficie.

Soliński patrzył na nią — i także jego zwilgotniała powieka — a w sercu miał błogość słowami nieokreśloną. Zdawało mu się, że Tytus kochany spogląda na nich z wyżyn, przez śmiertelników niepojętych — niedościgłych — i błogosławi dziecku swojemu.

Mieli dość czasu wszystkie przejrzeć obrazy. Potém Cecylja uścisnęła dłoń szanownego przyjaciela z uczuciem niewysłowionéj wdzięczności. Umilkli oboje. Dziewczę ciężko westchnęło.

— I to podarunek dla mnie? zagadała po chwili, składając rączki.

— Przyjm go na upominak, Cesiu moja droga.

— Takie piękne!... Sublime!... O Boże! Jam

dotąd o niczém podobném i wyobrażenia nie miała!... C'est... mon dieu!... Panie drogi, łaskawy! zacisnęła dłonie, pochyliła głowę i pocałowała go w ramię.

— Cesiu, i to stworzył duch polski, a raczéj oddał tylko z prawdą i świętością uczucia, zatapiając rylec w sercu zbolałém a miłującém gorąco.

— Mon dieu!... Nigdy jeszcze, nigdy podobnego nie doznałam wzruszenia!

— A czytujesz-że książki, które ci przyniosłem?

— Je les devore! wybuchnęła szybko. — Pochłaniam je! A zdaje mi się, że teraz lepiéj i coraz lepiéj po polsku będę mówiła, chociaż te — uśmiechnęła się — francuzkie wyrazy ciągle mi się po języku plączą. — O mój panie! wzniosła oczy pełne entuzjazmu — ten Przedświt! Jestem w zachwyceniu! Jak gdyby w niebo unosił!... Uczę się z niego wyrazów — domówiła ciszéj — by mowę moją poprawić, uszlachetnić.

Posłyszano, że powóz zajechał.

— Schowaj, Cesiu, te ryciny — wymówił Soliński — przybędzie towarzystwo wesołe, so i pocóż je zasmucać?

— Ach, tak! Pewnoby roztkliwiły mamę. A papa smutnych wspomnień nie lubi.

Zebrała obrazy i wybiegła: dzieweczka przeciuciowo działała, bo świadomości jasnéj o charakterze ojczyma nie miała jeszcze. Podumała nieraz — przemyśliwała o onéj posłyszanéj między mamą i papą rozmowie, ale nic z niéj wywnioskować nie mogła, lubo że ta pobudziła pewien wrodzony instynkt niewieści, który często staje się aniołem stróżem.

Soliński usiadł przy fortepjanie i fantazjować począł. Pani Węgielewska i baronowa weszły.

— Witam! witam! zawołała pani domu, wyciągając rączkę w modnéj, pięknéj duńskiéj rękawiczce o czterech guzikach. — Pan tak sam?

— Panna Cecylja była tu dopiero. Wybiegła na chwilę.

Pojdziemy tylko zdjąć kapelusze. Wrócimy zaraz.

We drzwiach zminęły się z Cecylją. Panienka obok przyjaciela ojca usiadła.

— A jakżeż się pannie Cesi podobały powieści?

— Przedziwnie! Pierwsze to powieści polskie, którém przeczytała, a przenoszę je po nad wszelkie inne. Żyję z temi osobami, stworzonemi przez autora; boleję z niemi i oddycham ich szczęściem. Poznaję z nich życie tutejsze: dwory i chaty, szlachtę i chłopów, i pokochałam wszystkich! — przycisnęła splecione dłonie do piersi. — Dotąd wszystko niemal było mi obcém; mało zapamiętałam z lat dzieciństwa, a to mało w cudzym zatarło się kraju. — Cecylja w tém wypowiedzeniu doznanego wrażenia i żadnego francuzkiego nie użyła wyrazu.

— Pomówimy więcéj poszczegółowo, rozbierzemy powieść..

Pani Węgielewska wróciła. A drugiemi drzwiami nadszedł pan domu z panem Andrzejem Niwinieckim — rozmowa literacka przerwała się zatém na teraz. Gdy jednakże po chwili więcéj przybyło osób, Soliński zawiązał ją znowu. Cecylja wyjawiała mu zdania swoje, trafne niekiedy bardzo. A potém zwrócił jéj niejedną uwagę, nastręczył myśl nową, wskazał cel i dążenie, potrzeby dla dobra społecznego — i prawdę żywotną. A cieszył się nieskończenie, że wszystko pojmowała od razu — że każda myśl wyższa i zasada do jéj przekonania trafiały.

Potém, gdy ją do fortepjanu wezwano znowu; gdy jéj wysłuchał piosenki, to i wymknął się zcicha, wedle zwyczaju i w swoje cztery kąty pospieszył, — szczęśliwy z łez, które zalały lica dziewczęcia, nie skrzywiwszy jednego muszkułu młodziuchnéj twarzyczki przy obrazach Grotgera — głębokiego dowodząc wzruszenia i żalu; szczęśliwy z myśli, które w jéj rozwinął główce — i poniekąd dumny z tego dzieła swojego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZMAITOŚCI.

†

Emil Kierski

22 kwietnia 1874 w Poznaniu.

†

Seweryn Elzanowski

15 kwietnia 1874 w Paryżu.

* * *

— **Teatr.** Dla czegóż w Europie a nawet i w Ameryce przedstawienia sceniczne cieszą się tak licznym udziałem publiczności, podczas kiedy w stolicy naszego Księstwa teatr oznaczał się pustkami, że aż Echo krakowskie wtoruje nieszczęsne słowa: dnia 13 b. m. odwołano w teatrze polskim w Poznaniu widowisko, gdyż do kasy wpłynęło wszystkiego — 3 talary!

Zdaje nam się, iż winę tę nietylko naszym obywatelom, lecz obojętności, niedbałości i niejakiéj gnuśności pp. Aktorów przypisać należy. Od ogólnego sądu tego wykluczamy p. Henemann, p. Zamojskiego lub p. Cybulskiego. Nie spodziewając się przecież od trupy początkującéj artystycznego przedstawienia, żądaćby przecież można wyuczenia się ról, zbadania charakterów i oddania ich według możności.

Żadnego z tych warunków nie widzieliśmy jednakże dostatecznie wypełnionego. Role tak nędznie były umiane, że kiedy przy Epidemji stolik, w około którego pp. artyści byli ulokowani, nieco za daleko od suflera był odsuniętym, cedzono lub połykano wyrazy i ustawicznie powtarzano: ten tego. — Pan Robin w 4 akcie „Pamiętników Szatana“ przy owacji w największym zapale „opiekę Boga“, dosłyszawszy suflera, nagle zmienia na „opiekę sądu.“ — Gorsze jednak skutki wywarł brak téj pilności na niektórych paniach, które zważając jedynie na ukrytego dobroczyńcę, wyszły z typu przybranego charakteru. I tak poważna i sędziwa matrona: baronowa de Ronquerolles, jak niedoważona pensjonarka z przesadzonym zapałem deklamowała swe wiersze. Najwięcéj jednakże dziwić się należy niesłychanéj obojętności, z jaką na tymże przedstawieniu oddała rolę matki: Girard. Nie docieкłszy bowiem żadnéj gry, powiedzieć tylko można, iż to było jałowém powtórzeniem słów suflera.

W. Pohl.

— Dr. **Stanisław Smolka**, wysłany przez Akademję krakowską w celu zbierania dokumentów dziejowych do epoki piastowskiéj, pracuje obecnie tu w archiwach katedry. Z uprzejmą gotowością pozwoliła mu kapituła wyszukiwać i kopjować co mu się przydać może, — a i ministerjum pozwoliło toż samo mu czynić w archiwach grodzkich. — Archiwa kapituły są ze znajomością rzeczy uporządkowane i dobrze zkatalogowane — i zawierają dokumenta sięgające XII wieku. Dr. Smolka już znalazł kilkadziesiąt ważnych i nieznanych dotąd dokumentów, z których kilka poda do druku w „Monumentach.“

* * *

— **Juljan Morgenstern**, fotograf, wykończył „Album z rysunków Orłowskiego“ (ze zbioru Jana K. Żupańskiego) — najsłynniejszego swego czasu malarza koni i takiéj sławy co ojciec Karól i syn jego Horacy Vernet. Album to składa się z 37 obrazków z życia dońskich Kozaków, Abazów, Tatarów — bardzo charakterystycznych. Unikat tego album jest do obejrzenia złożone w xięgarni Edmunda Callier, — i tamże można się zgłosić po obstalunki na kopje, gdyż nakład za kosztowny ażeby go zapasowo wykonywać.

* * *

— **Darowski Alexander Weryha:** „Przysłowia odnoszące się do nazwisk szlacheckich i miejscowości.“ Poznań, 1874. Nakładem J. K. Żupańskiego, str. 219, druk lipski. — Ułożone abecadłowym porządkiem przysłowia, w których wspominają nazwiska osób, stanowią część pierwszą, — a drugą przysłowia tyczące się miejsc. Autor prawie wyczerpująco zestawił te przysłowia porozpraszane w dziełach bardzo dziś rzadkich lub nieprzystępnych, tudzież wiele nawet nieznanych i do wszystkich nieomal dołączył objaśnienia krytyczno-dziejowe. Jest to skarb prawdziwy dla badacza mowy polskiéj, podręcznik dla czytających czytelników dzieła literackie i historyjne, dla takichże autorów, dla etnologów, — zgoła dla ludzi myślących. To dzieło mozolnéj i sumiennéj pracy pożądaném by być powinno w każdéj literackiéj pracowni i w każdym salonie mającym cechę uczoności, — zwłaszcza dla swego układu słownikowego, tak wygodnego w często zdarzających się chwilach sporu w towarrystwach, gdzie nie tyle interesują stósunki prywatne osób żyjących (plotki) ile rzeczy same i wiedza o nich.

Skrzynka do listów.

— W 14 numerze „Tygodnika Wielkopolskiego“ z dnia 4 kwietnia, czytamy pod sam koniec str. 112 co następuje:

Zapytanie 15: „Zkąd się wzięła nazwa reintuch (albo „rańtuch“) na zawój noszony przez podolskie kobiety wiejskie, gdy strój ten głowy jest czysto narodowo ruskim?“

Nic zgubniejszego w poszukiwaniu jakiéjkolwiek prawdy, nad ślepą wiarę w zmysły. Mam przed oczyma żółty kruszec, i nie wdając się w ściślejsze badanie, powiadam, że to jest złoto. Słyszę polskie niewiasty rozmawiające o rańtuchu; umiem po niemiecku i polegając na moim słuchu, utrzymuję, że to jest wyraz żywcem wzięty z niemieckiego reintuch czy też reines tuch.

Nie trzeba być potężnym głowaczem, żeby nie uznać, że źródłosłów a raczéj wywodnia oparta na słuchu, doprowadziłaby do najniedorzeczniejszych wyników. Któryś tam z naszych rzekomych językoznawców dowodził, że wyraz nos pochodzi od łacińskiego nasus, jak gdyby Polacy dopiero po zetknięciu się z Rzymianami zostali obdarzeni zmysłem powonienia; albowiem wiadomo powszechnie, że brak wyrazu na oznaczenie jakiego przedmiotu, pochodzi ze zupełnéj takowego nieznajomości. W europejskich językach nie znano nazwy herbata (herba thea), tea, thé, póki ten płód roślinny nie został wprowadzony do Europy.

Wracam do rańtucha (forma „rańtuch“ jest mi nieznaną w polskim), który nietylko u podolskich, ale i u mazowieckich kobiet bywa w użyciu.

Jak rzeczownik nos nie pochodzi od niemieckiego nasus*), tak też rańtuch nie ma nic wspólnego z niemieckiém reintuch, reines tuch.

Język polski posiada imiona z końcówką uch, tuch, np. niewieściuch, pastuch, świńtuch. Podług tego, zarodkiem rzeczownika rańtuch będzie zgłoska rań, od pierwiastku ra = ar. Z tego źródła wypłynęło litewskie rentas, w liczbie mnogiéj rentai, koła, obręcze u rogów bydła, po których poznaje się wiek wołu. Daléj litewskie rentinis, ściany domu bez dachu i cembrowanie u studni. Tu należy polskie imię obręcz, powstałe z przyjimka ob i zatraconego rzeczownika ręcz (= rętja)' który odpowiada przytoczonemu wyżéj pierwotnikowi rań.

Takie ma pochodzenie wyraz rańtuch, który, jak widzimy, jest najczystszéj słowiańskiéj wody. Z tym rzeczownikiem zostaje w związku mnóstwo wyrazów znanych indo-europejskim językom, jak litewskie ratas, koło; niemieckie rad; łacińskie rota; francuzko-niemieckie rund, rond. Pierwiastkiem tych wyrazów, jak rzekłem wyżéj, jest zgłoska ra = ar, właściwie sanskrycka samogłoska *r*.

Samogłoska *r* przybiera nadech gardłowy *k*, *ch*, jak n. p. robak, chrobak; tak samo ledz, legać i kłaść, kładę od wspólnego pierwiastku lag, odpowiadającego litewskiemu gul, a to na mocy prawa: a—b = b—a. Pierwotnik ręt przybrawszy nadech *k*, wydał twory: kręt, kręcić. Nie pomylę się pono, gdy powiem, że obok bierzma rańtuch istnieje albo istniało bierzmo krańtuch i chrańtuch, spokrewnione także z czasownikiem chronić, od zarodku roń, który po zamianie *r* na *ł* wydał wyraz łono, a uległszy prawu a—b = b—a, stał się norą i nurem.

Któżby pewiedział, wierząc li oczom i uszom swoim, że wyrazy: rańtuch, zakręt, obręcz, ochrona, łono i nur płyną z jednego źródła?

Na tém kończę mój wywód i śmiem upraszać Szanowną Redakcję Tygodnika, aby jak najczęściéj zadawała pytania lingwistyczne, tyczące się mowy ojczystéj, na które postaram się odpowiedzieć w miarę sił moich.

Mikołaj Akielewicz.

Paryż d. 20 kwietnia 1874. — 30 Passage du Commerce.

*) Łacińskie nasus daje się objaśnić za pomocą polskiego nos, ktory ma wspólne źródło z czasownikiem niuchać, od pierwiastku niu czyli ńu, wedle prawdziwéj pisowni księdza Malinowskiego. Pierwiastek ńu, na mocy odkrytego przezemnie prawa lingwistycznego: a—b = b—a, daje takie zrównanie: ńu = uń; zkąd woń, wąchać.

Zapytanie: Jak zrozumieć pierwszą część zdania z najnowszego zresztą, wybornego kazania:

„Jeśli śmierć dowodzi wewnętrznéj wartości człowieka, to często pogrzeb daje mu świadectwo w obec świata czém był za życia dla ludzi.

Odpowiedzialny redaktor Wilhelm Pohl. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego, w księgarni K. Reyznera i u M. Leitgebera.